

D Y S K U S J A R E D A K C Y J N A

KONDYCJA WSPÓŁCZESNEGO PAŃSTWA NARODOWEGO: KRYZYS – ZMIERZCH – ROZKWIT?

Jacek Raciborski

■ Słowo wstępne

Dlaczego problem kondycji państwa narodowego zaproponowałem jako temat pierwszej dyskusji redakcyjnej? Otóż państwo wydaje mi się najbardziej skomplikowanym i niezrozumiałym tworem społecznym, a refleksja nad nim zaniedbana i niesystematyczna. Niezależnie od gwałtowności zmian technologicznych, kulturowych i politycznych we współczesnym świecie państwo nadal wydaje się najważniejszą ramą społeczeństwa. Społeczeństwa są społeczeństwami państwowymi.

Ten pogląd o centralnej roli państwa zaczął być kwestionowany już w dwóch ostatnich dekadach minionego wieku. Nastąpiło odczarowanie państwa. Ale mam wrażenie, że skutek jest odwrotny: gdy dostrzeżliśmy jego skomplikowanie, policentryczność, „bezgraniczność”, to stało się ono bytem tak tajemniczym, że przestało nawet być przedmiotem empirycznych badań społecznych. Jeszcze tylko makroekonomiści starają się określić granice państwa poprzez badanie przepływów budżetowych.

Wreszcie państwo jest fundamentem jednej z najsilniejszych zbiorowych tożsamości: tożsamości narodowo-państwowej, bo tak – jak mi się wydaje – należy traktować szczególny splot poczucia przynależności do narodu i państwa, jaki dość powszechnie zaistniał w Europie.

Każda z wypowiedzianych uwag o państwie jest kontrowersyjna. I dlatego właśnie warto problem uczynić przedmiotem debaty.

Proponuję następującą formułę dyskusji. O głos wprowadzający poprosił prof. Zygmunta Baumana – mam nadzieję, że będzie to jednak głos stronniczy, w tym sensie, że podtrzyma on liczne swoje tezy o wielowymia-

rowym kryzysie państwa i państwa narodowego w szczególności. Później na zasadzie pierwszych głosów zaprosiłem do dyskusji: prof. Jerzego Wiatra, klasyka zagadnienia i autora bardzo ważnej książki *Naród i państwo. Socjologiczne problemy kwestii narodowej* (Warszawa: Książka i Wiedza, 1969), prof. Witolda Morawskiego, który podjął tę problematykę między innymi w niedawno opublikowanych *Konfiguracjach globalnych* (Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2010), oraz prof. UW Jarosława Kiliasa, mego współpracownika w Zakładzie Socjologii Polityki, autora dwóch książek ważnych dla naszego problemu: *Wspólnota abstrakcyjna. Zarys socjologii narodu* (Warszawa: Wydawnictwo IFIS PAN, 2004) i *Narodowość jako problem naukowy* (Warszawa: Scholar, 2000).

Po tej części poproszę o komentarze, uwagi, pytania pozostałych uczestników naszego spotkania. Prof. Bauman i autorzy głosów pierwszych odniosą się do nich w podsumowaniu dyskusji.

Zygmunt Bauman

■ Polityka, dobre społeczeństwo i „suwerenność westfalska”

Yongjune Park – twórca i redaktor naczelny „Indigo”, jednego z najambitniejszych, najżywszych i najbardziej obrazoburczych czasopism zaangażowanych w krytyczną analizę rzeczywistości, a zwłaszcza w sprawę odzyskania utraconej kontroli nad kondycją ludzką – skłonił mnie parę miesięcy temu do podsumowania mych poglądów na najważniejsze przyczyny, które doprowadziły do utraty tejże kontroli.

Jak można się było spodziewać, jego pierwsze pytanie dotyczyło modelu „dobrego społeczeństwa”, do którego doprowadziłaby nas taka kontrola, gdyby udało się ją odzyskać. Odpowiedziałem na to, że o ile na świecie panuje chyba dość szeroki, jeśli nie powszechny, konsensus co do tego, że alternatywne i – miejmy nadzieję – lepsze społeczeństwo *jest* do pomyślenia i że społeczeństwu dzisiejszemu wiele do ideału brakuje, o tyle nie ma mowy o zgodzie powszechnej, gdy dochodzi do opisania owego ideału: co mianowicie skłonni bylibyśmy nazwać „dobrym społeczeństwem”. Łatwiej nam dogadać się co do tego, *od czego* chcielibyśmy, a wręcz czujemy nakaz uciekać; *dokąd* jednak mielibyśmy zmierzać, to już całkiem inna sprawa.

Sądzę, że debata wokół kształtu „dobrego społeczeństwa” straciła wiele ze swego dawnego ferworu i tempa przede wszystkim z racji *kryzysu sprawczości*: wielka wątpliwość, która spowodowała zniknięcie modelu „dobrego społeczeństwa” z debaty publicznej, z tego się bierze, że nie widać dziś na

scenie politycznej podmiotu sprawczego, po którym można byłoby się spodziewać zdolności i woli wcielenia go w życie. Wątpliwość ta z kolei płynie z coraz bardziej ewidentnego rozwoju mocy (owego *Macht* w terminologii Maxa Webera, czyli zdolności realizacji celów) i polityki (to znaczy zdolności decydowania o tym, które cele należy zrealizować). Dziś te dwie zdolności, połączone przez kilka wieków w instytucjach państwa-narodu, ułożyły się w rezultacie procesów globalizacji w dwu różnych przestrzeniach: moc w „przestrzeni przepływów”, polityka zaś w „przestrzeni miejsc” (korzystając z terminologii Manuela Castellsa).

Spora część mocy „wyparowała” z państwa-narodu w ponadnarodową przestrzeń globalną, podczas gdy polityka, jak dawniej, pozostaje lokalna i zamyka się w granicach suwerenności terytorialnej państwa. Stajemy więc dziś w obliczu, z jednej strony, mocy uwolnionej od politycznego nadzoru i sterowania, a z drugiej, po staremu uwiązanej do terytorium i nim ograniczonej polityki, skazanej na permanentny niedobór mocy. Mamy dość powodów po temu, aby podejrzewać moce zglobalizowane o to, że nie życzą sobie one reformy obecnego stanu rzeczy ani nie są nią zainteresowane. Co się zaś tyczy polityki, nie byłaby ona zdolna podjąć się takiej reformy, nie mówiąc już o doprowadzeniu jej do końca – nawet gdyby taki pomysł przypadł jej do gustu.

Żaden z odziedziczonych czy też ocalałych podmiotów politycznych, zaprojektowanych i zainstalowanych pod kątem potrzeb społeczeństwa zintegrowanego na szczeblu państwa-narodu, nie nadaje się do tej roli; żaden nie jest wystarczająco potężny, aby podolać skali i wadze zadania. W tak wielu krajach, nawet tych najmoźniejszych, częstuje się na co dzień obywateli bynajmniej niebudującym widowiskiem rządów zabiegających o zgodę „rynków” na to, co zamierzają uczynić – a już w szczególności na to, czego uczynienia obywatele by się po nich spodziewali lub od nich żądali. To właśnie „rynki” uzurpują dziś sobie (nie bez przyzwolenia, a często i jawnego czy ukrytego poparcia i wsparcia ze strony bezsilnych i bezradnych rządów państwowych) prawo do pierwszego i ostatniego słowa w sporach o granice oddzielające to, co realistyczne, od nierealistycznego. „Rynki” zaś to skrótowa nazwa dla zbiorowiska anonimowych, bezosobowych mocy bez domowego adresu: mocy, których nikt nie wybierał ani nikt nie zdoła przywołać do porządku i powstrzymać od wyrządzenia szkód; sił, którym nikt się nie kwapi ani nie jest w stanie zakreślić limitów i których poczynań nikt nie potrafi poddać kontroli.

Narastające i mocno już ugruntowane przekonanie potoczne, a w coraz większym stopniu także i opinia ekspertów głoszą, że wybieralne parlamenty oraz rządy, którymi owe parlamenty zobowiązane są kierować i które powinny nadzorować, są niezdolne do wypełniania swych zadań. Równie niezdolne

do tego są partie polityczne notorycznie wycofujące się ze swych poetyckich obietnic wyborczych w momencie, w którym ich przywódcy zasiadają w ministerialnych biurach i stają w obliczu prozy przemożnych i nieposkromionych sił rynkowych i giełdowych, pozostających daleko poza zasięgiem uprawnień i mocy „suwerennych” rzekomo państw-narodów. Stąd głęboki i nieustannie pogłębiający się kryzys zaufania do „władz”. Epoka ufności w zdolność instytucji państwowych do skutecznego działania ustępuje miejsca erze instytucjonalnej niepewności i pospolitej nieufności do skuteczności poczynań rządowych.

Idea terytorialnej suwerenności państwowej sięga roku 1555, kiedy to na spotkaniu zwołanym w Augsburgu przez zwaśnione dynastie panujące, desperacko szukające ucieczki lub choćby chwilowego wytchnienia od przedłużającej się rzezi i siejących spustoszenie wojen religijnych rozdierających chrześcijańską Europę, ukuto formułę *cuius regio, eius religio* (czyje panowanie, tego religia). Suwerenność władcy, jak wskazywała formuła, którą wypracowali Machiavelli, Luter, Bodin (w swym wyjątkowo wpływowym dziele *Les Six Livres de la République* opublikowanym dwadzieścia jeden lat po traktacie augsburskim) czy Hobbes, oznaczała nikim i niczym nieograniczone prawo królów i książąt do zaprowadzania oraz egzekwowania praw wiążących każdego, komu przydarzyło się przebywać na obszarze ich władzy. „Suwerenność” oznaczała najwyższą – nieograniczoną przez zewnętrzną ingerencję i niepodzielną – władzę w *obrębie terytorium*: od momentu pojawienia się w słowniku polityki, pojęcie „suwerenności” odnosiło się do terytorialnie ograniczonego stanu rzeczy i terytorialnie zakreślonych uprawnień.

Jak twierdził Machiavelli, a później powtarzali wszyscy politycy zasługujący na to miano, wyłącznym zobowiązaniem księcia jest *raison d'état – état*, czyli państwa, będącego nieodmiennie terytorialną całością określoną przez swe granice. Jak mówi *Stanford Encyclopedia of Philosophy*: „Władza suwerenna sprawowana jest w obrębie granic, ale także, ze swej definicji, w stosunku do innych, którym nie wolno ingerować w sferę rządów suwerena”, przy czym owi „inni” to oczywiście władze również terytorialnie określone, tyle że po drugiej stronie granicy. Wszelka próba wtrącania się w porządek rzeczy ustanowiony przez suwerena na terytorium jego panowania była zatem uznana *a priori* za bezprawną, godną potępienia i stanowiła *casus belli*. Formuła augsburska może być traktowana jako akt założycielski nowoczesnej suwerenności państwowej, ale też – i tak jest odczytywana – jednocześnie i z konieczności jako tekstowe źródło nowoczesnego pojęcia granic państwowej władzy.

Trzeba było jednak prawie stu lat dalszego rozlewu krwi i spustoszeń, aż do roku 1648 i porozumienia o „suwerenności westfalskiej”, podpisanego po

długich pertraktacjach w Osnabrück i w Münster, ażeby zasadę rekomendowaną przez formułę augsburską zaadaptowała społeczna i polityczna rzeczywistość Europy: niepodzielna suwerenność każdego władcy na terytorium, nad którym panuje i nad jego mieszkańcami – to znaczy uprawnienie władcy do stanowienia praw wedle własnego wyboru, który znosił wybory dokonywane indywidualnie przez jego poddanych, włącznie z wyborem Boga, w którego winni byli wierzyć i którego czcić.

To ta właśnie formuła miała nieodwracalnie zapewnić, poprzez prosty wybieg zastępujący *religio* przez *natio*, myślową ramę czy też szablon zastosowany niedługo później do stworzenia (świeckiego) porządku politycznego rodzącej się nowoczesnej Europy i zarządzania nim. Był to wzór *państwa narodowego* – to znaczy *narodu* używającego suwerenności państwowej do oddzielenia „nas” od „nich” i zastrzegającego sobie monopolistyczne, niezbywalne i niepodzielne prawo do projektowania porządku wiążącego kraj jako całość, a także państwa zgłaszającego roszczenie do dyscyplinowania poddanych poprzez przywoływanie wspólnego charakteru narodowej historii, przeznaczenia i dobrobytu. Zakładano i postulowano, że oba te konstytutywne elementy wzorca mają na siebie terytorialnie nachodzić.

Ten historycznie ułożony wzór, wybrany spośród wielu innych wyobraźalnych, wykonalnych i wiarygodnych zasad porządkujących, w czasie kolejnych stuleci został „znaturalizowany” – nadano mu status oczywistego i niepodważalnego w większości Europy. Stopniowo, acz konsekwentnie, narzucano go również całej planecie przez umiejscowione w Europie imperia światowe – w toku długiego cyklu wojen prowadzonych przeciwko lokalnym, nazbyt często uparcie stawiającym opór rzeczywistościom (pomyślny na przykład o jawnie i otwarcie sztucznych „granicach narodowych” państw postkolonialnych, nieograniczających bynajmniej plemiennych waśni, albo straszliwym losie republik byłej Jugosławii).

Gdy po koszmarze dwudziestowiecznej wojny światowej podjęto pierwszą próbę ustanowienia realnie dającego się utrzymać konsensualnego porządku planetarnej pokojowej koabitacji, to właśnie na westfalskim modelu suwerenności ufundowano Kartę Narodów Zjednoczonych – zgromadzenia przywódców suwerennych państw powołanych do wspólnego monitorowania, nadzorowania i obrony zębami i pazurami owego stanu pokojowej koegzystencji. Artykuł 2 Karty w paragrafie 4 zabrania ataków na polityczną niepodległość i terytorialną integralność, podczas gdy w paragrafie 7 wyraźnie ogranicza możliwość interwencji z zewnątrz w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa, jakkolwiek byłyby one niepokojące.

Wciąż żyjemy w „erze postwestfalskiej”, liżąc dotąd niezaleczone (być może nieuleczalne) rany, których zasada *cuius regio, eius religio* przysporzyła i wciąż przysparza społeczeństwom dążącym do integracji bądź walczącym o jej ochronę i utrzymanie. Proces wyzwalania się z cieni rzuconych przez „westfalską suwerenność” jest rozciągnięty w czasie i przebiegał boleśnie, do tego bynajmniej nie w jednorodny sposób. O ile wiele sił (finanse, interesy biznesowe, handel informacją, bronią i narkotykami, przestępczość i terroryzm) zyskało już – w praktyce, jeśli nie w teorii – wolność odrzucenia i zanegowania owej zjawy, o tyle polityka (możność decydowania o tym, jak i po co stosowana jest władza) wciąż cierpi z powodu jej ograniczeń. Jaskrawa nieobecność globalnych podmiotów politycznych, zdolnych nadażyć za globalnym już zasięgiem i potencjałem różnych sił oraz odzyskać kontrolę nad nimi, stanowi zapewne najpoważniejszą przeszkodę na nierównej i wyboistej drodze w kierunku „świadomości kosmopolitycznej”, pasującej do nowych, globalnych współzależności między ludźmi.

Jak już była mowa wcześniej, Organizacja Narodów Zjednoczonych, instytucja powołana do życia w reakcji na wojnę rozpoczętą aktami agresji jednych suwerennych państw narodowych na suwerenność innych, najbliższa idei „globalnego ciała politycznego”, umocnienie i obronę westfalskiej reguły za wszelką cenę ma wpisaną w swą Kartę. Rodzaj „międzynarodowej” (czytaj: między państwowej, między rządowej, międzyministerialnej) polityki, który ONZ musi promować i praktykować, do którego ma prawo i jest zdolna, sam nie będąc w żadnym razie krokiem na drodze do prawdziwie globalnej polityki, okazałby się raczej główną barierą ustawioną w poprzek takiej drogi, gdybyśmy kiedykolwiek mieli na nią wstąpić.

W pewnym sensie na niższym, acz strukturalnie równokształtnym poziomie znajduje się euro: absurd wspólnej waluty obsługiwanej i podtrzymywanej przez osiemnastu ministrów finansów, z których każdy z konieczności reprezentuje suwerenne interesy swego kraju i ich broni. Losy euro wystawionego na kaprysy polityk lokalnych (tzn. państw narodowych), cierpiących pod presją dwóch różnych, nieskoordynowanych i tym samym niełatwych do pogodzenia ośrodków wpływu (ograniczonych narodowo elektoratów i ponadnarodowych instytucji europejskich, nazbyt często instruowanych do działania i działających w imię sprzecznych celów), to tylko jeden z przejawów sytuacji bez wyjścia: bycia wciśniętym niczym w imadło, unieruchomionym i ubezwłasnowolnionym pomiędzy widmem westfalskiej suwerenności państwowej z jednej, a realiami globalnego bądź przynajmniej ponadnarodowego uzależnienia od innych z drugiej strony. W 2012 roku debata prowadzona przez wówczas 27 państw członkowskich Unii Europejskiej na temat

sposobu ratowania euro, a może i samej Unii Europejskiej, została zawieszona (z możliwością straszliwych konsekwencji dojścia do punktu, z którego nie będzie już odwrotu, i pewnością jeszcze większej liczby pobocznych szkód, jakie całej Europie przyniesie kolejny miesiąc wolnoamerykanki zaoferowanej hazardzistom giełdowym i spekulantom walutowym) aż do czasu greckich i francuskich wyborów parlamentarnych.

W telegraficznym skrócie: wciąż pozbawieni jesteśmy globalnego ekwiwalentu instytucji wynalezionych, zaprojektowanych i uruchomionych przez naszych dziadów i pradziadów na poziomie terytorialnego państwa narodowego po to, by zabezpieczyć mariaż władzy i polityki: instytucji, które służą – a przynajmniej były pomyślane i sterowane tak, aby służyły – łączeniu i koordynacji rozproszonych interesów i opinii, ich właściwej reprezentacji, a także odzwierciedleniu w praktyce organów wykonawczych oraz uniwersalnie wiążących kodeksów praw i procedur sądowych.

Co nam pozostało, to zastanawiać się, czy wyzwaniu temu można podołać, a zadanie to zrealizować z zachowanymi jeszcze instytucjami, stworzonymi i sporządzonymi w końcu po to, by służyły zupełnie innemu (tj. państwowo-narodowemu) poziomowi ludzkiej integracji i aby chroniły ów poziom przed wszelkimi ingerencjami „z góry”. Wszystko zaczęło się przecież, przypomnijmy, od monarchów chrześcijańskiej Europy walczących o odrzucenie pretensji papieża do nadzoru nad ich posiadłościami. Przez kilka stuleci ten odziedziczony układ był stosunkowo dobrze dostosowany do realiów swych czasów, czasów władzy i polityki wzajemnie splecionych na poziomie rozkwitającego państwa narodowego, czasów *Nationalökonomie* i Rozumu utożsamianego z racją stanu – ale to już przeszłość.

Nasza współzależność stała się globalna, podczas gdy nasze instrumenty zbiorowego działania i ekspresji woli pozostają lokalne i uparcie opierają się poszerzeniu, a także naruszeniu czy ograniczeniu. Luka pomiędzy skalą współzależności a zasięgiem instytucji powołanych do ich obsługi jest już gigantyczna, a do tego z każdym dniem się poszerza i pogłębia. Zasypanie tej przepaści bądź przerzucenie nad nią mostu stanowi w mojej ocenie „metawyżwanie” naszych czasów – to, które powinno zyskać najwyższą rangę pośród trosk mieszkańców XXI wieku. Wyzwaniu temu musimy sprostać tak, abyśmy w ogóle mogli zacząć się mierzyć z mniejszymi, wtórnymi wobec niego, acz równie nieuniknionymi wyzwaniami w sposób uczciwy, właściwy i skuteczny.

Już na koniec – tytułem nadchodzącej dyskusji – można się zastanowić nad tym, jak w kontekst rozważań nad kondycją państwa narodowego wpisuje się propozycja oddania władzy w ręce burmistrzów, prezydentów miast i powołania światowego parlamentu burmistrzów, którą głosi Benjamin Barber w książce

Gdyby burmistrzowie rządili światem. Sugeruje on, iż miasta byłyby nie tyle konkurencyjne względem państw, co komplementarne, bo będąc obecnie, jego zdaniem, podstawową przestrzenią wspólnotową, mogłyby rozwiązywać problemy, z którymi państwa sobie nie radzą.

Jerzy Wiatr

Profesor Raciborski zrobił mi przyjemność, przypominając moją starą książkę *Naród i państwo*. Zacznę więc od niej.

Wydałem tę pracę w 1969 roku, a pisałem w roku poprzednim. Na jej treść wielki wpływ miały wydarzenia 1968 roku. Była to moja intelektualna odpowiedź na „pomarcowy” klimat polskiego życia politycznego. Nie uszło to uwagi baczного recenzenta – Jana Szczepańskiego – który na łamach „Nowych Książek” napisał, że jest to „książka z kluczem”. Tym kluczem było rozumienie narodu i państwa narodowego – dwóch pojęć, które, tak wtedy jak i teraz, odgrywają zasadniczą rolę w dyskursie politycznym.

W dyskursie tym ścierają się dwie zasadniczo odmienne wizje. Pierwsza to wizja narodu jako „wspólnoty krwi”, wyrażającej się we wspólnej kulturze (w tym zwłaszcza – wspólnej wierze) i tworzącej swoje państwo jako polityczną formę bytu narodowego. Naród tak rozumiany tworzy swoje państwo, a państwo narodowe jest podstawowym dobrem tak rozumianego narodu. Roman Dmowski, najważniejszy i najciekawszy przedstawiciel tej koncepcji na gruncie polskim, pisał o „katolickim państwie narodu polskiego”, w którym obcoplemieńcy powinni być traktowani jak goście – czyli życzliwie, ale też jako ci, którzy nie mają prawa wyřęczać gospodarza w urzędowaniu jego domu. To z tej wizji państwa narodowego wyrastał przedwojenny nacjonalizm z jego skrajnymi przejawami, do których należała zaciekle kampania przeciw prezydentowi Gabrielowi Narutowiczowi – został on zamordowany nie za jakieś osobiste przewiny, lecz za to, że wybrano go dzięki „niepolskim” głosom. Niemal pół wieku później podobny ton zabrzmiał, gdy protestującym wypominano „niepolskie” pochodzenie i odmawiano prawa do uważania się za Polaków.

Etnocentrycznej wizji narodu i państwa narodowego przeciwstawia się druga wizja, mianowicie narodu obywatelskiego. Tym, co naród tak rozumiany konstituuje, nie jest ani mit „wspólnej krwi”, ani nawet wspólnota kultury – skądinąd bardzo ważna, ale niebędąca warunkiem *sine qua non* istnienia narodu – lecz poczucie więzi z państwem. Używając klasycznego określenia Stanisława Ossowskiego, powiemy, że członkami narodu obywatelskiego są ci wszyscy, którzy to samo państwo uważają za swoją „ojczyznę ideologiczną”.

Mogą oni, ale nie muszą, być połączeni pochodzeniem etnicznym i wspólnymi wartościami kultury. Są bowiem członkami narodu obywatelskiego także ci, którzy należąc do mniejszości narodowej czy etnicznej, identyfikują się z państwem narodowym i dają temu wyraz czynem.

Pozwolę sobie tu na dygresję. Mam wśród swych przyjaciół najstarszego obecnie członka znanego rodu grafów von Götz, których odłam zamieszkiwał na Śląsku, między innymi władając Okocimem. Był to stary ród niemiecki. Tytuł otrzymał w roku 1000 od cesarza Ottona III. W Drugiej Rzeczypospolitej von Götz byli lojalnymi obywatelami państwa polskiego, a w czasie drugiej wojny światowej odrzucili ofertę podpisania niemieckiej listy narodowej, co jeden z nich przypłacił śmiercią w hitlerowskim obozie, drugi zaś walczył w Wojsku Polskim na uchodźstwie. Czy może być lepsze świadectwo polskości, pełniejszy dowód polskiego patriotyzmu?

We wspomnianej na początku książce opowiadam się za obywatelskim rozumieniem narodu i takim rozumieniem terminu „państwo narodowe”, przy którym to poczucie obywatelskiej więzi z państwem konstytuuje naród, a naród określa się przez jego stosunek do państwa. Własnego, to znaczy stanowiącego wspólne dobro wszystkich obywateli. Tak to zresztą rozumie polski hymn narodowy, w którym mówi się: „przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami”. Legioniści polscy, śpiewając *Mazurek Dąbrowskiego*, byli w zgodzie z ówczesną konwencją terminologiczną, która termin „Polacy” rezerwowała dla członków państwa polskiego – w ostatnich latach XVIII wieku już nieistniejącego. „Będziem Polakami” to nic innego jak zapowiedź, że odzyskamy państwo polskie. Bez niego nie jesteśmy bowiem narodem obywatelskim.

Obywatelskie rozumienie narodu jest zakorzenione w tradycji zachodniej demokracji. Nie tylko w Stanach Zjednoczonych – państwie stworzonym przez imigrantów – ale także we Francji przynależność do narodu utożsamiana jest z obywatelstwem, co zresztą łatwo sprawdzić, zaglądając do paszportów, gdzie polskiemu słowu „obywatelstwo” odpowiadają angielskie *nationality* lub francuskie *nationalité*. W tym duchu napisana jest preambuła do Konstytucji 1997 roku, w której znajduje się doniosła formuła: „my, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”. Wszyscy, a więc nie tylko etniczni Polacy. Wszyscy, którzy Rzeczypospolitą uważają za swoją ojczyznę.

Uważam przyjęcie takiego – obywatelskiego – rozumienia narodu i państwa narodowego za jedno z ważniejszych osiągnięć polskiej demokracji. Nie łudzę się jednak, że stało się ono jedynym sposobem myślenia o narodzie i państwie. Politycy prawicy „narodowej” wnoszą okrzyki „Polska dla Polaków”. Wiadomo, o co im idzie. O Polskę rozumianą w duchu Romana

Dmowskiego, zgodną z kanonami nacjonalizmu etnicznego. To nie jest jeszcze idea martwa, choć – jak mam nadzieję – lata jej największej popularności mamy już za sobą.

Pojawia się obecnie pytanie, czy procesy integracji europejskiej oznaczają kres państwa narodowego, jego roztopienie się we wspólnej tożsamości europejskiej. Czasem przytaczana jest analogia z historią Stanów Zjednoczonych. Sam przypominam studentom prawdziwą anegdotę z przedednia wojny secesyjnej, kiedy to prezydent Abraham Lincoln zaproponował generałowi Robertowi Lee dowództwo wojsk Unii. Zasłużony generał prezydentowi podziękował za zaszczytną propozycję, ale odmówił jej przyjęcia, gdyż – jak powiedział – „ojczyzna mnie wzywa”. Tą ojczyzną była Wirginia – jeden ze stanów Konfederacji. W połowie XIX wieku było jeszcze naturalne, że dla generała Lee ojczyzną był jego stan. Dziś brzmi to jak anachronizm. Ojczyzną dzisiejszego Amerykanina są Stany Zjednoczone, a nie Wirginia, Pensylwania czy Kalifornia.

Nie sądzę, by Europa miała podążać tą samą drogą. Narody europejskie mają długą, niekiedy liczącą ponad tysiąc lat historię. Mają odrębne języki i kultury narodowe. Myślę z zadowoleniem o tym, że będą się one zbliżały do siebie, że będzie się między nimi wytwarzała więź, że wreszcie wspólna Europa stawać się będzie dla nich wszystkich coraz silniej odczuwaną meta-ojczyzną. To bardzo długi proces, którego uwieńczenia zapewne nie zobaczą nawet wnuki najmłodszych uczestników naszego spotkania. Zgodziłbym się jednak z Hieronimem Kubiakiem, że Europa pozostanie wspólnotą ojczyzn narodowych, a więc że państwo narodowe nie zniknie, nie rozplynie się w europejskiej wspólnocie.

Nie podzielam także poglądu, że państwo narodowe utraciło zdolność skutecznego działania, gdyż o najważniejszych sprawach gospodarczych decydują potężne korporacje ponadnarodowe. Nie zgadzam się z tym poglądem z dwóch powodów. Po pierwsze, choć gospodarka jest bardzo ważna, to jednak polityka się do niej nie sprowadza. Państwo ma w swym ręku instrumenty regulujące wielkie obszary życia, w których jego decyzje nie są ograniczane przez siły ponadnarodowe. Takie kwestie, jak model rodziny, prawo kobiety do decydowania o utrzymaniu lub przerwaniu ciąży czy polityka kulturalna, pozostają w gestii państwa narodowego. Integracja europejska nie zniósła różnic w tych dziedzinach. Jeśli różnice te będą zanikały, to przez dyfuzję wzorów kultury, a nie przez ograniczenie kompetencji państwa narodowego.

Drugi argument dotyczy gospodarki. Jeśli powiada się, że państwo narodowe niewiele już w tej dziedzinie może, to zapytam: dlaczego widzimy tak wyraźne różnice w sukcesach i porażkach państw narodowych? Jeśli Polska

lepiej niż inne państwa Unii Europejskiej radzi sobie w warunkach światowego kryzysu finansowego, to czy nie jest to dowodem, że państwo ma jednak jakiś wpływ na gospodarkę? Zgadzam się, że wpływ ten jest inny niż w czasach państwowego protekcjonizmu, ale nie uważam, że należałoby ogłosić kres roli państwa.

A skoro tak, to perspektywa państwa jako ważnego, choć przez socjologów często pomijanego podmiotu społecznego zasługuje na przemyślenie. To szczególnie rola socjologii polityki.

Witold Morawski

■ Państwo narodowe: co, kto, dlaczego i jak?

1. Co to jest państwo narodowe?

Nie da się mówić o państwie narodowym dziś, nie uwzględniając jego wielu odmiennych wcieleń, jakie znamy z historii. Jakoż stwierdzić trzeba, że wyłaniają się jego kolejne wcielenia, wbrew popularnej w ciągu ostatnich trzydziestu lat tezie o jego zaniku. Co więcej, zapewne będzie ich nawet więcej niż w przeszłości, bo od drugiej wojny światowej na mapie świata przybyło wiele nowych państw. Chyba jednak nie przybiorą one tak wyrazistych kształtów, jakie znamy z historii XIX i XX stulecia. Mam tu na myśli między innymi jakże podziwiane państwo narodowo-rewolucyjne, a następnie – już rzadziej podziwiane – narodowe państwo imperialne. Pamiętamy także jego wcielenia dziś całkowicie zdyskredytowane, jak narodowe państwo totalitarne (w tym nazistowskie). Choć są to formuły na ogół przebrzmiałe, czasem proponuje się je ożywiać, na przykład określać Stany Zjednoczone czy Unię Europejską mianem imperium liberalnego, mimo iż przecież w obu przypadkach podobieństwa do klasycznego imperium, na przykład brytyjskiego, też właściwie liberalnego, są zgoła niewielkie. Takie porównania czynione są z całą powagą, a co jeszcze ciekawsze – bywają całkiem udane. Na przykład Niall Ferguson pisze o Stanach Zjednoczonych jako imperium, które nie nauczyło się nic od Wielkiej Brytanii.

Proponuję, aby szukać nowych określeń dla nowych praktyk funkcjonowania państwa narodowego, które samo podlega redefinicji. Najlepiej jest to czynić przez identyfikację sił, które kształtują nowe formuły. Używam liczby mnogiej, albowiem nie wyłania się jakaś jedna nowa mutacja państwa narodowego. Muszę wszak dodać, iż są autorzy – przykładowo John W. Meyer, John Boli, George M. Thomas i Francisco O. Ramirez – którzy trafnie wskazują, że globalizacja (społeczeństwo światowe, zrjonalizowany

światowy system instytucjonalny, kultura światowa) modeluje czy też konstruuje państwa narodowe, zwłaszcza młode, które pojawiły się po drugiej wojnie światowej. Sprzyja również częściowemu ich upodobnieniu.

2. Kto nie chce państwa narodowego?

Zamiast dociekać, jakie wyłaniają się nowe warianty państwa narodowego, atakowana jest sama idea państwa narodowego. Zwrócę uwagę na dwa kierunki ataku.

Pierwszy to neoliberalna formuła „państwa minimum”, która ma doprowadzić nie tylko do erozji czy eliminacji wymiaru narodowego w funkcjonowaniu państwa, ale również do podważenia sensu państwa w ogóle. Niektórzy autorzy, jak Robert Nozick, łaskawie dopuszczają myśl, że da się zaakceptować państwo w charakterze czegoś w rodzaju agencji ochrony mienia. Można się zgodzić, że niektóre funkcje państwa obumierają (wewnętrzne), ale trzeba natychmiast dodać, że inne zyskują na znaczeniu (np. funkcje zewnętrzne). U podłoża tego rozumowania przewija się myśl, że współzależności narzucone przez kolejną falę globalizacji uprzywilejowują poziom globalny czy polityczno-regionalny, jak Unia Europejska, kosztem narodowego (choć nie lokalnego!).

Drugi kierunek ataku jest zupełnie inny. Opiera się na inspiracjach płynących nie tyle ze świata ekonomii, co raczej polityki, kultury, społeczeństwa itd. Wiąże się niekiedy z postulatami bezpośredniej demokracji czy poszanowania wspólnot (czego brakuje części myśli liberalnej) w imię wartości kosmopolitycznych.

Obu typom ataku przyświeca idea lepszego niż dotąd wykorzystania przestrzeni globalnej, która cechuje się większą niż kiedykolwiek współzależnością, będącą rezultatem działania nowych sił napędowych (rynków ekonomicznych, międzynarodowych instytucji politycznych, potrzeb społecznych, atrakcji kulturowych, wpływu nauki i technologii, zwłaszcza komunikacyjnych i informacyjnych). Atakujący zgłaszają propozycje, jak budować nowe instytucje, które mogłyby w tym pomóc (w domyśle: ponieważ państwo narodowe nie jest do tego zdolne). Powiedziałbym – rzekomo nie jest zdolne, gdyż jeśli nawet w pewnych sprawach państwo staje się mniej użyteczne, to przecież pojawiają się nowe potrzeby, które należą do jego obowiązków, jak obsługiwanie powiązań zewnętrznych. Najrozmaitsze praktyki funkcjonowania państwa narodowego po drugiej wojnie światowej potwierdzają empirycznie, że tak się właśnie dzieje. Wystarczy przyrzeć się, jak zręcznie z handlu

światowego potrafiły korzystać „azjatyckie tygrysy” (państwa narodowe, często o reżimach autokratycznych), nie mówiąc o wielkim „smoku”, jakim są Chiny po 1978 roku (początek reform Denga).

Oba wskazane kierunki krytyki państwa narodowego skłonny jestem uważać za utopijne, powiedzmy, częściowo utopijne. W krytykach bowiem i postulatach, jakie im towarzyszą, są – łatwo się na to zgodzę – ziarenka prawdy i czasem także szlachetne intencje. Atak neoliberalny był (i nadal jest) prowadzony z prawej strony sceny ekonomiczno-politycznej. Trafniej zresztą jest w tym wypadku mówić o libertariańskim ataku niż o liberalnych jego źródłach (od lat powtarzana teza Andrzeja Walickiego). Dodam, że do ataku neoliberalistów (libertarian) z przyjemnością dołączyli neokonserwatyści. Tegoż aliansu świadkiem była Ameryka George’a W. Busha. Druga linia ataku rodziła się na lewicy i centrolewicy. Odwołuję się do pojęć lewica–prawica, choć sens tego starego podziału cały czas blednie.

Tym sposobem państwo narodowe zostało wzięte w dwa ognie. Jednak z pomocą przyszło mu samo życie. Mam tutaj na myśli światowy kryzys finansowy z lat 2008–2009, a potem kryzys w ramach Unii Europejskiej. Dziś siły obu tych opcji są poważnie osłabione, choć nie unicestwione; czasem jedynie ośmieszone. Jeszcze za prezydenta George’a W. Busha państwo narodowe zostało przywołane do pomocy w gospodarce. Realnie interweniowało, aby ratować banki czy firmy samochodowe, które mogły upaść. Państwo, to niby neoliberalne państwo, uznało, że pewne przedsiębiorstwa są „zbyt duże, aby pozwolić im upaść”.

Państwo zaczęło więc być bronione: w Stanach Zjednoczonych słabo, w Europie i na świecie – mocniej. Często jest to obrona warunkowa. Spójrzmy na książki Ulricha Becka, który mimo swojej kosmopolitycznej filozofii społecznej starannie szuka formuł zabezpieczających uszanowanie tożsamości narodowych, etnicznych itd. Ich instytucjonalizacja wiąże się bowiem z państwem narodowym. Wspólne dla szeroko pojętej liberalnej lewicy (gdzie lokowałbym również zwolenników kosmopolityzmu) jest to, że nie widzą oni w swoich postulatach większej sprzeczności z funkcjonowaniem Unii Europejskiej, choć poprawionej (miałaby stać się jakąś formą federacji). Przyjmują, że istnienie Unii jest nieodwracalnym faktem. Bez niej nie da się szybciej i lepiej naprawić błędów, jakie ona sama popełniła. W tejże sprawie potrzebny jest aktywny udział państwa narodowego. Wolfgang Streeck czy Claus Offe do takich błędów zaliczają między innymi unię walutową, wprowadzenie euro, zadłużenie, bezrobocie, nierówności ekonomiczno-społeczne.

W Polsce cieszymy się, że nie mamy u siebie na razie pieniądza euro. Widok samochodów ze Słowacji wywożących towary kupione w naszych sklepach to przekonanie umacnia. Można zapytać: jak długo? Nie uciekniemy od decyzji i w tym obszarze, jeśli ścisły Zachód będzie umacniać strefę euro. Tym bardziej, że dotychczasowa wymiana handlowa z Unią jest dla nas wielce korzystna. Nadto poprawiamy naszą pozycję w Europie i na świecie dzięki członkostwu w strukturach UE. Pomijam jakże dla nas korzystne zastrzyki pieniężne, które otrzymujemy od kilkunastu lat. Efekty w naprawie infrastruktury są widoczne gołym okiem.

3. Dlaczego państwo narodowe jest potrzebne?

Naród-lud staje się potrzebny, aby demokratycznie wyrażać zgodę. Nie da się uwspólnić długów czy nałożyć nowych podatków bez takiej zgody. Ale tu pojawia się kłopot: kto bowiem będzie ponosił ciężar napraw, które nie mogą być chyba równe? Inne muszą być dla tych, którzy na integracji najwięcej skorzystali (np. Niemcy), a inne – dla biedniejszych (np. Greków) i ogólniej peryferii UE. Jedno jest pewne, mianowicie że inwestorzy i instytucje finansowe nie będą się godzić na uszczuplenie swych zysków. Dlatego płacimy już za to strzyżeniem osłony socjalnej, w tym zmniejszaniem wydatków na zdrowie czy oświatę. Zwiększa to deficyty budżetowe, zwiększa nierówności społeczno-ekonomiczne, sprzyja wzrostowi bezrobocia tak groźnego zwłaszcza dla pokolenia młodych.

Ale legitymizowane narodowo państwo potrzebne jest nie tylko ze względów ekonomiczno-społecznych. Te argumenty są najczęściej oferowane – to prawda, ale w świadomości ludzi pełni ono także funkcje, które ośmieliłbym się porównać do funkcji kapci, jakich używamy do chodzenia w domu. Zwykle uważamy je za niezbędne. Podobnie jest z państwem narodowym. Jest ono kluczowym elementem naszych imaginariów społecznych, obok rodziny, religii itd. Imaginaria społeczne są pełne mitów, emocji, jak opisuje to Charles Taylor. Jest w nich miejsce na rozum i racjonalność instrumentalną (ale nie tak chyba dużą, jak się zwykło sądzić). Imaginaria społeczne są elementami tego, co określiłbym jako mniejszy lub większy zaścianek, w jakim każdy z nas tkwi. I tkwić chce! Nawet wtedy, kiedy wie, że ten zaścianek jest czasem „brudny”. Najczęściej jest lokalny, a nawet zredukowany do grona przyjaciół i znajomych, ale dla wielu to państwo narodowe jest takim zaściankiem – trzeba przyznać, całkiem dużym. Jeśli chodzi o identyfikacje polityczno-prze-strzenne, to państwo narodowe jest niezmiennie na drugim miejscu. Identyfikacja z Europą jest dalej na liście, z globem jest oczywiście jeszcze rzadsza. Takie są ustalenia empiryczne.

4. Jak korzystać z państwa narodowego w świecie nasilających się współzależności?

Referendum, które poprzedziło nasze wejście do Unii Europejskiej, dowodzi, że Polacy całkiem dobrze rozumieją uwikłania zewnętrzne: ich konieczność i korzyści, jakie wynieść z nich można. Korzystamy z nich; wcześniej wspomniałem o naszym handlu w ramach UE. Poprawiamy swoje parametry cywilizacyjne za pieniądze z Unii (z pewnością do 2020 roku). Otrzymaliśmy ogromnie wsparcie finansowe i spożytkowujemy je dobrze, podobnie jak dobrze zagospodarowujemy czas po 1989 roku. Dam przykład aktualny: Polska była w 1990 roku na podobnym co Ukraina poziomie wzrostu gospodarczego (PKB) mierzonego na głowę mieszkańca, a 24 lata później ta relacja jest mniej więcej jak 3 do 1. W porównaniach z innymi krajami postkomunistycznymi wypadamy nie tak dobrze, ale wyraźnie dobrze. W wypadku porównań z krajami Europy Zachodniej ten obraz również się poprawia. Sam stosunek polskich rolników do UE dowodzi, że ludzie są elastyczni mentalnie, jeśli się pamięta blokady i tyrady Leppera przed wejściem Polski do Unii.

Mówię o sukcesach Polski w ostatnich 24 latach, bo są one obrazem tego, jak państwo narodowe może dobrze korzystać z instytucji ponadnarodowej. Jest prawdą, że dla wielu Unia Europejska jest instytucją-hamulcem dla państwa narodowego, ale dodajmy, że pojmowanego na sposób tradycyjny. Dziś państwo narodowe jest inne, jutro będzie jeszcze inne, ale nadal będzie to państwo narodowe. Pewne funkcje mu ubędą, inne przybędą.

Czekają nas kolejne transformacje. Trudno wyrokować, czy będą one mniejsze niż wcześniejsze, na przykład ograniczonego państwa z czasów PRL czy postkomunistycznego po 1989 roku. Tamte były częścią losu nam danego, te, które nadchodzą, w większym stopniu będą dziełem naszych własnych wyborów, ale dokonywanych w warunkach zapewne jeszcze większej niepewności. Skutkiem mogą być kryzysy, z którymi nie wiadomo, jak sobie radzić. Nie ma co prawda na horyzoncie wojen, które były tak ważne w historii starych państw narodowych, ale dodać trzeba, że i obecnie zdobywanie przewagi nad innymi aktorami na scenie Europy budzi silne emocje. To, co nazywaliśmy geopolityką, dzisiaj funkcjonuje w formie geoeconomiki. Czas na geopolitykę może jednak wrócić w każdym momencie. Już chyba wraca.

Dodatkowo sprawę komplikuje cała sfera kultury, zawsze nieco tajemnicza, bo nie wiadomo, kiedy i którą mackę uruchomi kultura pojmowana jako ośmiornica, jak widział kulturę Clifford Geertz. Państwo narodowe jest niezastąpionym, jak dotąd, miejscem rozwiązywania tych tajemnic lub ich ukrywania. Wielu twierdzi, że nasza kultura nie jest tak tajemnicza. Zgadzam się,

że stosowniejsze są metafory bardziej mieszane. Nowe polskie państwo narodowe, ale działające w ramach Unii Europejskiej, zadba o to z pewnością.

Jarostaw Kilias

Naszą dyskusję na temat państwa narodowego, podobnie jak wiele innych, trapi problem wynikający z zasadniczej niejednoznaczności tego pojęcia, skutkującej tym, że w gruncie rzeczy każdy z jej uczestników mówił o czym innym. Znaczenia terminu „państwo narodowe” mieszczą się w przestrzeni rozpościerającej się między dwoma biegunami. Z jednej strony chodzi o pojęcie państwa jako instrumentu hegemonii politycznej określonej większościowej zbiorowości narodowej – Rogers Brubaker w swej książce *Nationalism Reframed* określił to mianem *nationalizing state* („państwo unarodowiające” – w polskim przekładzie jego pracy, zatytułowanym *Nacjonalizm inaczej*, termin ten przełożono jako „państwo narodowo zorientowane”, odbierając mu jego drapieżność). Bez wątpienia tak właśnie pojmowane państwo narodowe stanowiło główny przedmiot rozważań Jerzego Wiatra. Z drugiej strony to, co w anglosaskiej literaturze określa się jako *nation-state*, a co zazwyczaj także przekłada się jako „państwo narodowe”, to najogólniejsza nazwa nowoczesnej formy organizacji państwowej. Także termin *nation-building* zwykle odnosi się do powstawania nowoczesnych państw, a nie narodzin narodów. Jak mi się wydaje, bezpieczniej byłoby w tym przypadku zrezygnować z przymiotnika „narodowe”, zastępując go określeniem „nowoczesne”. W tym rozumieniu państwo narodowe bywa rutynowo przeciwstawiane imperium, co tworzy opozycję tyleż nazbyt wyrazistą, co nie dość ostrą, pozostawiając poza swoim obrębem całe spektrum form przed- i wczesnonowoczesnych organizacji politycznych. Czy Druga Rzesza była imperium, czy państwem narodowym? A Wielka Brytania? A Związek Radziecki? Jak się wydaje, w takim właśnie rozumieniu używał pojęcia „państwo narodowe” Witold Morawski.

Warto przy tym pamiętać, że wbrew temu, co mogłyby sugerować moje dotychczasowe słowa, także sposób użycia angielskiej terminologii daleki jest od jednoznaczności. Choć Charles Tilly był zwolennikiem pojęcia *national state*, starając się uzasadnić jego użycie znaczeniem związku między narodem a państwem, w praktyce jego prace, na czele ze zredagowaną przezeń, pionierską książką *The Formation of National States in Western Europe*, podejmowały kwestię genezy państwa jako nowoczesnej organizacji politycznej w podobny sposób, co, powiedzmy, praca *The Nation-State and Violence* posługującego się odmienną terminologią Anthony’ego Giddensa. Jak widać, problem

nachodzenia się i przenikania dwóch rozumień pojęcia i typów problematyki badawczej dotyczy nie tylko nauki polskiej.

Jeśli chodzi o socjologiczną refleksję nad państwem narodowym (w drugim znaczeniu), jego domniemanym kryzysem i przewidywanym przez wielu zmierzchem, to na początku wspomnianej już przeze mnie, po raz pierwszy opublikowanej w roku 1985 pracy *The Nation-State and Violence* Anthony Giddens konstatawał, że podobna problematyka jest w socjologii niedostatecznie obecna. Rzecz jasna, istnieje określona tradycja dociekań na ten temat, wywodząca się z niemieckiej nauki o państwie i prawie, a za której dziedzica może na gruncie socjologii uchodzić Max Weber. Ja także jestem jej miłośnikiem – nie tylko Webera, ale chociażby jego przyjaciela, prawnika Georga Jellinka. Choć już u progu XX wieku pojawiły się pionierskie prace, takie jak chociażby *Der Staat* Franza Oppenheimera, to we współczesnej socjologii zainteresowanie państwem to rzecz w istocie stosunkowo nowa. Zrodziło się ono na gruncie socjologii historycznej, dyscypliny słabo w Polsce znanej (aczkolwiek propagowanej choćby przez Łukasza Wojakowskiego w pracy *Państwo i zmiana społeczna w koncepcjach amerykańskiej socjologii historycznej*) i w zasadzie nieuprawianej (względnie: częściej uprawianej przez historyków niż przez socjologów). Literaturze tej można niebezpiecznie zarzucać jednostronne zainteresowanie Europą czy szerzej, krajami Zachodu, lecz pozostaje ona nieocenioną inspiracją. Z kolei w latach dziewięćdziesiątych XX wieku pojawiła się fala publikacji na temat kryzysu czy wręcz upadku państwa narodowego. Obecnie, po kryzysie finansowym, który jasno pokazał, że państwo jest niezbywalnym i póki co wciąż niezastąpionym aktorem życia gospodarczego, głosy o jego upadku trochę przycichły. Warto dodać, że kluczowej roli państwa dowiodło w jeszcze bardziej dobitny sposób inne aktualne doświadczenie, któremu uczeni nie poświęcili wszakże należytej uwagi, mianowicie niedawne bałkańskie oraz minione i nadal trwające afrykańskie wojny domowe, prowadzące do rozpadu instytucji państwa oraz ujawniające jego rolę jako podstawy wszelkiego ładu społecznego. Doświadczenie to sugeruje także, że nie wolno zapominać o roli odgrywanej przez przemoc – ściślej mówiąc, o znaczeniu jeśli nie monopolu, to istotnej przewagi instrumentów przemocy będących w dyspozycji władzy politycznej, jako niezbywalnego warunku zaistnienia i przetrwania państwa.

Jak mi się wydaje, przeciwko tezie o kryzysie, nie mówiąc o upadku państwa narodowego, świadczy fakt, że ono wciąż tutaj jest i jakoś nie znika, nawet jeśli nie zawsze potrafimy dostrzec jego aktywną obecność. Często spotykany rodzaj populistycznej krytyki Unii Europejskiej głosi, że jej macki obejmują coraz to nowe dziedziny życia, narzucając kolejne, biurokratyczne

standardy. Rzecz jasna, w większości przypadków regulacje istniały i przedtem, a unijne ustawodawstwo ujednolicając je, uczyniło je po raz pierwszy od dawna widocznymi! Dyskretną obecność państwa można dostrzec, chociażby jeżdżąc samochodem za granicę: przepisy drogowe są niby zasadniczo takie same, ale analogiczne znaki drogowe wydają się jakieś inne, mają inne odcienie i kształty, przez co nawet nie czytając nazw na drogowskazach, można od razu dostrzec, że jest się za granicą. Także internet, o którym wspominał prof. Bauman, okazuje się zadziwiająco i coraz bardziej lokalny! Nie chodzi nawet o to, że niektóre państwa blokują takie czy inne witryny. Nie proszę o to, ale wyszukiwarki uparczywie profilują wyniki moich wyszukiwań tak, że gdybym nie zdawał sobie z tego sprawy i nie usiłował, nierzadko daremnie, skłonić ich do poszukiwania treści z innych krajów i w językach innych niż polski, mógłbym sobie pomyśleć, że cały internet ma polski charakter. Dotyczy to zresztą również międzynarodowych witryn, od eBaya po Facebooka, których lokalne wersje różnią się nie tylko pod względem języka, ale i pokazywanej treści. Większość z tych ulokowanych na polskich serwerach pokazuje mi od pewnego czasu zupełnie zbyteczny komunikat o stosowaniu *cookies*, ewidentny rezultat usiłowania czynionego przez urzędników naszego państwa, by uczulić mnie na ograniczenia mej anonimowości w sieci.

■ Dyskusja

Włodzimierz Wesółowski

Jednym z poruszanych wątków był wątek państwa, trochę oderwany od problematyki narodu. W pierwszym wystąpieniu bardzo ciekawe było zakończenie, przynajmniej dla mnie, bo książki [Barbera] nie znam. Czy nie byłoby dobrze, gdyby rządzili burmistrzowie? Dobrze, niech rządzą. Tylko że w tym całym pięknym przedstawieniu problematyki narodu i państwa, choć zaczynało się od wojny trzydziestoletniej o panowanie religii w Europie – którejsz z wersji religii chrześcijańskiej: katolicyzmu czy protestantyzmu; chociaż zaczynało się od takich bardzo dobrych przypomnień, to – proszę Państwa – jak już mówimy o państwie, to musimy jednak powiedzieć o czymś, co padło tylko w ostatnim referacie i to jako jedno słowo u prof. Kiliasa. Przecież mówimy o państwie liberalnym, więc też o przemocy. U Webera mamy nie tylko *Macht* i *Politik*, ale też *Gewalt* – i to jest cecha państwa: przemoc. Przemoc nieuchronna ze względów organizacyjnych, że tak tylko przypomnę Webera, choć być może da się ją jednak przewyciężyć. Ja na przykład wcale nie wierzę, że jest to konieczna cecha życia społeczeństw w kolektywach. Tak Weber

sądził, ale ja wcale w to nie wierzę, że tak musi być, jak sądził Weber. Niemniej należy pamiętać, że wedle Webera *Gewalt*, czyli przemoc, jest cechą zasadniczą. Wszystkie wersje uspołecznienia to, po pierwsze, zaprzestanie *Gewalt*, a może uspołecznienie *Gewalt*.

W świecie współczesnym *Gewalt* to nie jest rzecz do zminimalizowania w myśli teoretycznej, to nie jest rzecz do pominięcia w praktyce. Nie było tu mowy w ogóle o geopolityce. A geopolityka dziś to jest przygotowanie – przeproszam za wyrażenie humorystyczne – trzeciej wojny światowej. Rzecz polega na tym, że my, myśląc o państwie, mówimy tak: regionalizm jako forma organizacji społecznej, państwo narodowe jako forma organizacji społecznej, imperium jako forma organizacji społecznej. A może ponadnarodowe pokojowe stowarzyszenie? O tym ostatnim marzymy. Mamy zatem cztery takie formy. Pamiętajmy, iż dwie wojny światowe wybuchły między czterema pretendentami do panowania nad światem: Niemcami, Francją, Anglią i Rosją. Każde z tych państw uważało, że należy mu się panowanie nad globem. Hitler, zdaniem niektórych, wyprzedził innych, ale druga wojna światowa – co nie jest tak pewne, jak on twierdził, lecz tak uważał – była pewna, gdyż gdyby nie on zaczął, to ktoś inny wszcząłby konflikt zbrojny, ponieważ znów chodziło o supremację w świecie. Mnie się wydaje, że Hitler przesadził. Niemniej nad nami wisi kat następnej wojny – kto będzie silniejszy.

Tego, co robią Chińczycy, nie można opisywać w ten sposób, że stają się coraz silniejsi. To nie jest takie proste. Próba uporządkowania świata przez Baracka Obamę i Europy przez Angelę Merkel to jest próba zachowania pewnych sił. Jak już mówimy o władzy, to zastanówmy się nad tym, czy ta władza coś może, czy nic nie może; czy zmierza ku temu, by nic nie mogła. Zwłaszcza że tendencja jest jednak odwrotna: władza istniejących państw, a właściwie istniejących coraz mocniejszych kilku centrów świata, zmierza ku powiększeniu swej władzy. Czyli: czy ta władza może, czy nie może, może nie chce, a może w ogóle nic nie może – taki był tenor naszej dyskusji.

Władza jest spętana. Prof. Bauman wspomniał o pracach angielskich mówiących o tym, że władza jest spętana, może lepiej powiedzieć, iż polityka jest spętana, bo jakieś formy władzy pączkują od dołu. Lepiej, żeby pączkowały mocniej niż robią to dotychczas. A socjologia jest po to, aby ogarnąć te pączkowania władzy.

Przeproszam, że nadałem taki pesymistyczny ton wypowiedzi, ale bądźmy świadomi, iż są też te formy władzy, które są groźne. One lubią czasami wykorzystywać naród, poprzez te kilka centrów, które chcą pęcznić. Chiny pragną pęcznić, Brazylia pragnie pęcznić. Europa chce się bronić, bo to jest to centrum, które zawsze było, lecz teraz jej rola może maleć, jej rola

jako centrum jest zagrożona i jej waga w dyskursie światowym kurczy się. Tak wygląda to zagrożenie, które jest przed nami. Przepraszam, że wprowadziłem ten pesymistyczny wątek, lecz jego mi brakowało.

Jerzy Bartkowski

Ze względu na szczupłość czasu i pamięć o innych prelegentach przedstawiam moje komentarze do problemu współczesnego państwa w formie krótkich tez. Dyskusja tego problemu często przyjmuje nieświadomie pewne założenia, z którymi chciałbym polemizować. Są to: po pierwsze, zakładany bezrefleksyjnie europocentryzm relacji państwa i narodu; po drugie, ahistoryczność – przyjmowanie, że przedmiot dyskusji o państwie jest niezmienny – państwo sto lat temu i dziś to ten sam obiekt; po trzecie, postrzeganie słabości i siły jako procesów rozłącznych – że jeśli państwo „słabnie”, to jednocześnie „zanika”. Pomija się to, że właśnie procesy postrzegane jako prowadzące do zaniku państwa mogą skutkować wzrostem jego znaczenia. Teraz chciałbym to krótko rozwinąć.

Po pierwsze: europocentryzm relacji państwa i narodu. Problem narodu „obywatelskiego” i „etnicznego” pojawia się wtedy, gdy postrzegamy naród jako efekt powstania świadomości narodowej i dążenia do posiadania własnego państwa na podstawie etnokulturowej, legitymizowanej przez ciągłość historyczną. „Obywatel” jest określony poprzez cechy kulturowe, odczytywane jako definiujące naród. Rodzi to szereg problemów związanych z relacją tych pojęć i społeczno-politycznych napięć, szczególnie nasilonych w Europie Wschodniej. Takie rozumienie tych relacji jest absolutyzacją tej sytuacji. Przykładem mocno podważającym zasadność takiego ujęcia są obie Ameryki. Stany Zjednoczone to naród świadomie ukonstytuowany w określonym momencie historycznym przez akt założycielski. Z kolei Ameryka Południowa przedstawia obraz krajów o takiej samej genezie etnicznej (kolonizacja i emigracja hiszpańska i portugalska), a więc które z zasady nie mogą się odwoływać do wyróżniającej odmienności etnicznej w budowie swej tożsamości narodowej.

Po drugie: ahistoryczność – przyjmowanie, że przedmiot dyskusji o państwie jest niezmienny – państwo sto lat temu i dziś to ten sam obiekt. Pojawienie się państwa było w określonym momencie w jakimś sensie konieczne. Ale potrzeba jego istnienia i jego rola wciąż się zmienia. Jego „zaniechanie” powinno być dyskutowane w perspektywie jego funkcji w społeczeństwie. Współcześnie jest to kwestia jego głębokiej penetracji w całość życia społecznego i bardzo znaczącego rozwoju solidarności społecznej, której jest realiza-

torem. Zapotrzebowanie na jego rolę nie maleje, a rośnie. Szereg tych funkcji jest poza procesami globalizacji.

Po trzecie: postrzeganie słabości i siły państwa jako procesów rozłącznych – że jeśli państwo „słabnie”, to jednocześnie „zanika”. Państwo potrzebuje „osłabnięcia” (wejścia w szersze struktury ograniczające jego suwerenność) właśnie po to, by się wzmocnić i lepiej realizować swoje cele (określone funkcje wobec wspólnoty narodowej i obywatelskiej). Przynależność do niego zwiększa zapotrzebowanie na jego obecność – jak choćby potrzeba reprezentacji interesów zbiorowych w owych nowych strukturach.

Andrzej Antoszewski

Przysłuchując się dotychczasowej dyskusji, zwracam uwagę na zarysowaną w niej tendencję do poszukiwania uniwersalnej odpowiedzi na pytanie o przyczyny i przejawy zmiany istoty współczesnego państwa. Istnieje wiele dowodów na to, że traci ono przypisywaną mu moc przetwarzania rzeczywistości w terytorialnie zakrojonych granicach. Możliwość dokonywania zmian (lub utrzymywania *status quo*) staje się przedmiotem struktur ponadpaństwowych, pozapaństwowych lub znajdujących się na poziomie poniżej państwa. W sumie, wiele wskazuje na kryzys instytucji państwa, co dla niektórych może stanowić dowód na potwierdzenie słuszności z dawna głoszonej tezy o zbędności czy wręcz szkodliwości państwa jako instytucji społecznej. Powstaje jednak pytanie, jakie są konsekwencje dostrzegalnego słabnięcia państwa. Widzę tu pewną analogię do kryzysu gospodarczego. Uderza on z niejednakową mocą w państwa rozwinięte, rozwijające się i zacofane. Te pierwsze odczuwają jego efekty w mniej bolesny sposób i łatwiej sobie z nim radzą. Te drugie i trzecie mają z tym większe kłopoty. Podobnie jest z kryzysem państwa. Inaczej przebiega on i skutkuje w ustabilizowanych, okrzepłych demokracjach, inaczej w państwach, które na drogę demokracji wkroczyły stosunkowo niedawno, jeszcze inaczej w państwach autorytarnych. W tych ostatnich zresztą jest on najmniej widoczny, co nie znaczy, że nieobecny. Jeśli idzie natomiast o państwa demokratyczne lub dążące do stania się takimi, sprawa jest bardziej złożona. Demokracje ustabilizowane borykają się z kryzysem zaufania do instytucji politycznych, malejącą frekwencją wyborczą, wzrostem poparcia dla partii radykalnych, wybuchami społecznego niezadowolenia, ale wciąż jeszcze zachowują niezbędny poziom systemowej równowagi, wyrażający się w zdolności współdziałania władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowej. Te same zjawiska zachodzące w państwach postautorytarnych, zwłaszcza

tych, które wyłoniły się z bloku komunistycznego, stanowią daleko poważniejsze zagrożenia systemowej natury.

Dzieje się tak między innymi dlatego, że pokomunistyczna transformacja jest procesem zachodzącym na wielu płaszczyznach. Prócz przekształceń politycznych w grę wchodzi przebudowa systemu gospodarczego (to zadania uniwersalne) oraz – w licznych przypadkach – budowa państwowości właśnie. Tak widzi rzecz Claus Offe, konstruując kategorię *triple transition*, w ramach której, prócz ustanawiania demokratycznych instytucji politycznych i przeobrażenia gospodarki nakazowo-rozdzielczej w rynkową, zachodzi też proces określany przezeń jako *state-building*. Dotyczy to zwłaszcza państw, które wyłoniły się z rozpadających się komunistycznych federacji, na przykład Słowacji, Chorwacji, Macedonii, Bośni i Hercegowiny, Mołdawii, Ukrainy czy Białorusi, gdzie brak jest tradycji własnej państwowości lub jest ona niezwykle odległa. We wszystkich z nich doszło do zablokowania lub co najmniej zahamowania procesu demokratyzacji. Z wyjątkiem przyjętej do Unii Europejskiej Słowacji żadne z nich nie jest uznawane przez ośrodki monitorujące proces demokratyzacji na świecie za skonsolidowaną demokrację. Potwierdza to tezę głoszoną przez badaczy tego procesu, między innymi przez Juana Linza i Alfreda Stepana, że utworzenie państwa – i to silnego państwa, ze wszystkimi jego atrybutami – jest warunkiem demokratyzacji. *No state, no democracy* – słowa te znajdują mocne empiryczne poświadczenie na gruncie przemian politycznych dokonujących się w Europie Środkowej i Wschodniej. Podkreślmy: idzie tu o państwo silne sprawnością swoich instytucji, które potrafią efektywnie działać w warunkach, które demokracja stwarza, i tworzyć warunki dla jej rozwoju.

Ustanowienie silnego państwa nie może być jednak postrzegane jako cel sam w sobie. Po zjednoczeniu Włoch padły znamienne słowa Massimo d’Azeglio: Stworzyliśmy Włochy, teraz musimy stworzyć Włochów. Oznaczało to, że państwo musi stać się instrumentem kreowania tożsamości narodowej, której w momencie jego proklamacji jeszcze nie było lub też nie była w pełni rozwinięta. Z taką samą sytuacją mamy do czynienia w niektórych państwach Europy Środkowej i Wschodniej. Dlatego właśnie niektórzy badacze uważają *nation-building* za kolejną cechę pokomunistycznej transformacji, odróżniającą ją od innych przypadków „trzeciej fali” demokratyzacji. O ile jednak naród może zrodzić się, istnieć i przetrwać bez państwa, o tyle zasadnym wydaje się pytanie, czy państwo może przetrwać bez narodu. Narodu rozumianego nie tylko i tyle jako wspólnota etniczna (*ethnos*), ale przede wszystkim jako wspólnota polityczna (*demos*). Nie jest to zagadnienie czysto

teoretyczne, o czym przekonują nas problemy, z jakimi borykają się Bośnia i Hercegowina, Mołdawia czy też – choć w mniejszym stopniu – Ukraina. Na tych przykładach widać dokładnie, jaką rolę odgrywa państwo: nie tylko w zabezpieczeniu integralności terytorialnej, ale przede wszystkim politycznej. Większość badaczy procesu demokratyzacji zgadza się ze stwierdzeniem wspomnianego już Clausa Offe, że wymaga ona, po pierwsze, określenia tego, kim jesteśmy „my” – a więc co kształtuje naszą tożsamość polityczną; po drugie, jakie reguły politycznej gry mają w tak określonej wspólnotcie obowiązywać; i po trzecie, „kto, co, kiedy i jak otrzymuje”, a więc jak dzielone są korzyści i obciążenia. Na tej trzeciej płaszczyźnie, określanej jako *public policy*, państwo wykazuje słabnącą moc, czego dowody obserwujemy na każdym kroku i o czym była już mowa. Jednak jeśli idzie o ukształtowanie wspólnoty politycznej i określenie obowiązujących w jej ramach reguł, to nic państwa nie jest w stanie zastąpić. Utrata mocy w tym sensie byłaby nie tylko samounicestwieniem, ale ostatecznym zniweczeniem szansy na wprowadzenie idei demokracji w życie. Dążenie do zachowania tej mocy – także poprzez interwencję zewnętrzną, jak dzieje się to w Bośni i Hercegowinie – winno stać się jednym z elementów „powestfalskiego” ładu politycznego.

Krzysztof Górlach

Jestem zaskoczony, że żaden z referentów nie wspomniał w kontekście rozważań o kondycji państwa narodowego w dobie współczesnej o pojęciu *governance*. Mam na myśli perspektywę, w której traktuje się ośrodki władzy jako sieć sprawczą, będącą źródłem mocy we współczesnym świecie, a której to sieci państwo jest tylko jednym z elementów. Czy Panowie prelegenci nie widzą potrzeby ujmowania państwa we współczesnej dobie za pomocą tej kategorii pojęciowej?

Andrzej Waśkiewicz

Mnie zainspirował głos prof. Wesołowskiego, który mówił o monopolu przemocy. Powiedziałbym, że jest to legitymizowana przemoc i to jest najważniejsze, że państwo jest największą wspólnotą, w której przemoc może być legitymizowana – dotychczas większej wspólnoty nie stworzono. Pytanie, czy pomysł Benjamina Barbera, którego książki [*Gdyby burmistrzowie rządzili światem*] nie znam, ale czytałem wywiad z nim bezpośrednio po

opublikowaniu tej książki, może się powieść. Czytałem też jego inne książki, w których zafascynowany jest ideą partycypacji. W miastach ta partycypacja wygląda dobrze, ale kto będzie rozstrzygał spory między miastami? Musi istnieć jakiś globalny suweren, który będzie rozstrzygał spory na poziomie miast, które wówczas przejmą rolę mini-państw. Jego koncepcja jest tak piękna, jak piękne są utopie, ale pomija ten istotny element przemocy i owej legitymizacji przemocy. Dopóki nie stworzymy porządku globalnego, dopóty nie będziemy mogli oddać władzy burmistrzom.

Krystyna Skarżyńska

Słuchałam tej dyskusji jednak jako pewnej dyskusji o możliwościach różnych wspólnot i różnych bazach tych wspólnot. Dosyć mnie przekonała teza Witolda Morawskiego, właściwie zapożyczona przez Morawskiego, ale ładnie powiedziana, o kulturze jako ośmiornicy, która nie wiadomo kiedy i którą macką uderzy. Można się domyślić z tego, co mówił Jerzy Wiatr, że to jest tak, iż wspólnota etniczna zostaje przekształcona we wspólnotę inkluzywną, państwową, i być może będą też tego jakieś konsekwencje, na przykład będziemy się globalizować. Jednak nikt z Panów nie wziął pod uwagę tego, że w ogóle tego typu stabilna wspólnota jest dzisiaj ludziom potrzebna.

Gdy prof. Bauman mówił o miastach, za Barberem, to widziałam tam taką możliwość, że w miastach jest łatwiej wybrać bycie na jakiś czas, że można zmieniać te wspólnoty. To byłoby optymistyczne, gdyby przyszłość wyglądała tak, że właśnie sobie wybieramy takie dowolne, inkluzywne wspólnoty. Wówczas państwo może już przestawać być ludziom potrzebne. Jeżeli się śledzi badania i obserwuje to, co robią młodzi w Polsce i Europie, to państwo jest im mało potrzebne. To jest optymistyczna hipoteza.

Druga hipoteza jest taka, że wspólnoty narodowo-etniczne zaczynają być potrzebne ludziom rozczarowanym, załęknionym, przestraszonym procesami globalizacji i utraty siły. I nie jest tak, że państwo coś robi ludziom; państwo po prostu mało daje ludziom, zatem jest im mało potrzebne. Być może tworzą się takie hipotezy, że byłoby lepiej, gdyby to było takie narodowe, niezależne państwo. Tutaj jest jakieś niebezpieczeństwo. Nie wiem, którą macką sięgnie kultura. Równie dobrze może to pójść w kierunku celowościowych, zmiennych wspólnot ludzi, którzy się dowolnie zrzeszają, ale i w takich technicznych, zamkniętych wspólnotach może przejawiać się ta chęć poradzenia sobie z jakąś formą przynależności. Nie wiem, którą macką sięgnie kultura.

Tadeusz Szawiel

Zawsze jak słyszę narzekania na państwo, na słabnięcie państwa, na koniec państwa, to przypominam sobie dyskusję z połowy lat siedemdziesiątych XX wieku o kłopotach państwa demokratycznego. Otóż w raporcie Komisji Trójstronnej pt. *Kryzys demokracji*, w formie ograniczonej do paru regionów, snu-to bardzo katastroficzne scenariusze i zgłaszano pomysły uzdrowienia, które, jak się je dzisiaj czyta, to włos staje na głowie. Znakomity politolog, Samuel Huntington, proponuje, żeby uzdrowić ówczesne państwo demokratyczne, ni mniej, ni więcej tylko poprzez ograniczenie szkolnictwa wyższego, ponieważ studenci stanowili wówczas jeden z kłopotów. To tytułem anegdoty.

Teraz argumenty, które, w moim przekonaniu, ten pesymizm nieco rozpraszają. Była mowa o przeciwstawieniach; jeśli takim przeciwstawieniem jest państwo – brak państwa, jak na przykład w Somalii, to widzimy, że żadne współczesne wynalazki, żadne socjotechniki, żadnego typu działania kontrolne nie wytwarzają takiego porządku, który byłby alternatywą dla państwa.

Druga sprawa to moc globalnych aktorów, którzy powodują skarlenie państwa narodowego. Możliwe jest, moim zdaniem, także inne spojrzenie, takie mianowicie, że to państwa tolerują te rzekomo ponadpaństwowe, niezależne, globalne moce, na przykład rynki finansowe. Już tutaj wspomina-no, że być może jest tak, że państwom opłaca się do pewnego stopnia taki instrument jak swoboda przepływu kapitału itp. Przecież globalny rynek finansowy jest w sposób oczywisty uzależniony od państw narodowych. Bez siły tych państw, bez respektowania porozumień, rynki finansowe przestałyby w ogóle mieć jakiegokolwiek moce z dnia na dzień. Problem jest inny, polega on na braku kreatywności ze strony państw narodowych, jeśli chodzi o sposoby radzenia sobie z dysfunkcjonalnością tych mocy. To jest jednak inny kłopot. W sytuacji, gdy państwu będzie się opłacała jakaś regulacja tych globalnych instytucji, to ona nastąpi. Tyle że będą z tym związane koszty. Jeśli one będą do zaakceptowania i jeśli diagnoza będzie oczywiście taka, że te globalne moce rzeczywiście zagrażają stabilności porządku państwa, to niewątpliwie zmiana nastąpi.

Jedna sprawa, o której nie wspominałem, jeżeli chodzi o państwo. Dzisiaj często się zastanawiamy, jaka jest rola Niemiec w zjednoczonej czy jednoczącej się Europie i nie jest to tylko akademicka dyskusja. Za tym tkwi świadoma bądź nieświadoma opcja historyzoficzna. Mianowicie, państwo jest jednym ze sposobów osiągnięcia czegoś przez podmioty zbiorowe, podmioty dziejowe. Jeżeli zastanawiamy się, jakie plany mają Niemcy, to w mniej lub bardziej udolny sposób adresujemy ten problem – roli państwa narodowego jako podmiotu dziejowego. Narody po prostu też chcą coś osiągnąć. To nie jest

żadna hipostaza. To jest tylko przypomnienie tego, że historia Europy w ciągu ostatnich stu lat wyglądała tak, a nie inaczej. Nie dlatego, że mieliśmy udolnych bądź nieudolnych, szalonych bądź tchórzliwych przywódców politycznych, ale dlatego, że państwa narodowe są także podmiotem dziejowym. Państwa też chcą coś osiągnąć. Jeśli mówimy o Chinach lub Indiach czy ograniczamy się do Europy i mówimy o Niemczech, to adresujemy ten problem. To nie jest problem, którego intelektualnym rozwiązaniem jest jakiś rodzaj związku czy forma globalnego suwerena, bo kto miałby być suwerenem? Wówczas pojęcie „suwerena” straciłoby sens.

Renata Siemieńska-Żochowska

Jakieś trzydzieści, czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu uczyliśmy się – i to zostało tutaj zaakcentowane – że państwo jest potrzebne do budowania tożsamości narodu, sprzyja tworzeniu narodu. O tym byliśmy przekonani, sięgaliśmy do rozwoju ekonomicznego XIX wieku, z kolei XX wiek to większe rynki, organizacja, kontrola, przymus. Niemniej byłabym ogromnie wdzięczna, gdyby któryś z prelegentów był uprzejmy ustosunkować się do zjawiska, które obserwujemy. Mam na myśli to, że te państwa, które dawaliśmy jako przykłady, również studentom, i czytaliśmy o nich: Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Hiszpania, one przeżywają problem, ponieważ ludzie tam mieszkający, na przykład Niemcy, mówią: „Dlaczego my, Bawarczycy, mamy płacić tym słabszym regionom? To może by to podzielić jednak ekonomicznie, bo my tak z nimi nie czujemy się bardzo związani?”. Następuje zatem pewna erozja wspólnoty. Jeżeli popatrzymy na Belgię, to przecież jest ona wstrząsana problemem: „Dlaczego my mamy tkwić w tym jednym państwie?”. W Hiszpanii, co oczywiście nie trzeba przypominać, problem utrzymania jedności jest bardzo częsty. Czyli można postawić hipotezę, że mamy do czynienia z pewną trajektorią: te państwa pomogły tworzyć tożsamość narodową, ale coś się stało z substratem ludzkim: to nie są już ci sami ludzie, to są ludzie wyedukowani, a poziom edukacji wzrósł bardzo. Wiemy też z przykładu Związku Radzieckiego, że poziom edukacji nie sprzyja tworzeniu sowieckiego człowieka, bo ci ludzie sobie uprzytamniaли, że oni są Czeczenami itp. Być może to państwo, które istniało, które świadczyło usługi również w sensie edukacji i działało na rzecz podniesienia poziomu życia w Europie, sprzyja teraz pewnym tendencjom odśrodkowym: rodzeniu się nowych tożsamości i potrzeby tworzenia jakichś innych państw lub regionów. Myślę, że ten proces warty jest zauważenia, że jest to proces dynamiczny, w którym lud nie jest tym

samym ludem, który kiedyś był zarządzany przez państwo. Ten lud dzisiaj już czegoś innego oczekuje, część tego ludu ma już inne ambicje.

Jeśli można jeszcze coś dodać w kwestii problemu zarządzania miastem: to naturalnie ładnie brzmi. Jeśli jednak popatrzymy na przykłady – nie szukając nawet w Azji, gdzie są olbrzymie slumsy, gdzie nie ma mowy o rozwiązywaniu problemów, bo nikt nie zamierza ich rozwiązywać. Jeżeli popatrzymy nawet na Europę, choćby na Paryż, to widzimy miasto, które jest co jakiś czas wstrząsane zajściami, ponieważ jest napływ imigrantów i mimo że władze francuskie prowadzą politykę asymilacji, zaspokajania potrzeb w różnych wariantach, to jednak nie jest to takie proste. Dlatego myślę, że na pewno powstaje problem tworzenia jakichś innych jednostek dla ludzi, innych niż państwo, ale to wcale nie oznacza, że właśnie miasto jest tym czymś, co potrafi rozwiązać problemy tam, gdzie one faktycznie istnieją.

W badaniach *World Values Survey*, które robiłam w 2012 roku, pojawił się wyraźny trend, gdy porównywałam je z wcześniejszymi wynikami. Pojawił się typ dualizmu tożsamości. Z jednej strony wzrasta poczucie przywiązania do społeczności lokalnej. Z drugiej strony coraz więcej Polaków czuje się Europejczykami, i między tymi tożsamościami nie ma konfliktu. We Włoszech była obawa, że w przyszłości staniemy się obywatelami planety, a już nie Unii Europejskiej. Okazuje się, że tak nie jest: ludzie tworzą bardziej skomplikowane tożsamości, których wcale nie uważają za konfliktowe.

Witold Morawski

Padło tutaj pytanie o *governance*. To jest piękna problematyka. Jako „ustratifikowane rządzenie” właściwie jest nie do uniknięcia, ale ten temat rzeczywiście nie został tutaj poruszony. Coś jest nad państwem, coś poniżej państwa, więc to jest dobra uwaga. W ogóle jest problem z przetłumaczeniem tego pojęcia: ja to tłumaczę jako „rządzenie”, inni, na przykład Jerzy Hausner, jako „współzarządzanie”, czyli jest to trochę takie słowo-zagadka.

Jerzy Wiatr

Ja tylko jedną rzecz dodam w związku z głosem prof. Siemieńskiej-Żochowskiej. Te ruchy separatystyczne oczywiście świadczą o tym, że idea państwa narodowego nie jest martwa, ale równocześnie warto zwrócić uwagę na to, że żaden z tych ruchów nie zyskał dostatecznego poparcia, żeby doprowadzić do secesji. Zatem ostatecznie idea wspólnego państwa ciągle dominuje i w Kanadzie, i w Hiszpanii, i w Belgii.

Aleksandra Jasińska-Kania

Ale Jugosławia się rozpadła, Czechosłowacja się rozpadła i jeszcze kilka innych państw.

Jerzy Wiatr

Tak, ale to państwa federacyjne.

Zygmunt Bauman

Helmut Kohl stwierdził, że Słoweńcom trzeba dać niepodległość, bo są jednolici etnicznie. To było hasło odwoławcze dla czystek etnicznych w Jugosławii, ale to tylko tak nawiasem mówiąc.

Wspólnym wysiłkiem stworzyliśmy wspaniały obraz stopnia skomplikowania dzisiejszego świata. Dodaliśmy mnóstwo alternatyw do tej zawartej w tytule dyskusji, czyli alternatywy między zmierzchem a rozkwitem. Bardzo trafnie powiedział Václav Havel, który doświadczył życia społecznego i polityki od każdej z jej stron, bo był zarówno w lochach, jak i w pałacu prezydenckim. Swoje doświadczenia spointował takim oto zwrotem: „Żeby przewidywać historię, trzeba wiedzieć, jakie pieśni naród skłonny jest śpiewać”. Tylko zaraz po tym dodał, że szkopuł tkwi w tym, iż żadną miarą nie można przewidzieć, jakie pieśni naród będzie chciał śpiewać następnego roku. Tu jest cały ten problem i on się potwierdza w każdym miejscu. Ja mogę tylko zaprezentować swoje stanowisko w krótkich punktach.

Między Treitschkem a Mazzinim, między Dmowskim a Piłsudskim nie można wybierać. To nie są stanowiska, według mnie, „albo–albo”, lecz są to stanowiska „i – i”; elementy jednego i drugiego muszą występować. Jest po prostu tak, że jeżeli przyjmie się stanowisko Jürgena Habermasa patriotyzmu konstytucyjnego i się zrealizuje jego postulaty, to liczba członków narodu się powiększy, ale treść pojęcia narodu się bardzo zuboży. Taki będzie rezultat.

Druga sprawa, czego mi zabrakło w naszej dyskusji, choć było w niej wiele wątków. Zabrakło mi zjawiska diasporyzacji, która bardzo wspiera reguły gry. W samej Brazylii jest 70 urugwajskich diaspor: religijnych, językowych. Żadna z ich nie zamierza rezygnować ze swojej tożsamości, w przeciwieństwie do tego, co się działo z ich przodkami sto lat temu. Oni chcą być lojalni, płacić podatki, ale zarazem zachować swoją odrębność religijną, etniczną, językową. Powstaje zatem pytanie: czy ta historycznie utworzona więź terytorium i narodu jest dziełem Bożym, jest uniwersalną zasadą ludzkiej organi-

zacji, czy też jest epilogiem historycznym? Czy Polacy w Londynie, a jest ich tam 1,5 miliona w Anglii i Irlandii, czy oni są Polakami, gdy przejdą Wisłę i przejdą Wartę? Prof. Wesołowski mówił o wpływie internetu, możliwości komunikowania się na odległość, która zastępuje wysyłanie pocztówek. Młodzi opanowali tę sztukę. Otóż w tych warunkach kwestie terytorialne tracą na wadze przy kwestiach kulturowego utożsamiania się narodu. Ale poza separacją kwestii narodowości, kwestii miejsca zamieszkania, pobytu w terenie, terytorium ciągle można być członkiem narodu, jak to kiedyś było w Imperium Rzymskim, które wytrzymało sześćset lat.

Druga rzecz, która wynika z diasporyzacji, to konieczność sztuki życia na co dzień z różnicą. Otóż w ostatnich czasach rzeczywiście przybysze do kraju byli – jak to mówił Dmowski – gośćmi i tak byli traktowani, a jeśli chcieli przestać nimi być, to musieli się zasymilować, czyli zrezygnować ze swojej tożsamości. Teraz ta rzecz odpada; nie jest przejściowym kłopotem sąsiedztwo ludzi biednych, którzy z natury rzeczy są niewygodni w swoim sąsiedztwie, bo trudno przewidzieć ich zachowania, budzą strach, czasami mogą wręcz odrażać. W związku z tym, że ta perspektywa przebywania w towarzystwie odmieńców to nie jest przejściowy kłopot, gdyż tak już będzie w wyniku diasporyzacji przez długie lata, musimy stworzyć nową sztukę życia, życia zróżnicowanego, co jest niezmiernie ważne i trudne. Z tego powodu sądzę, że wymiaru kulturowego w naszej dyskusji trochę zabrakło. W gruncie rzeczy uważam, iż bez mini-rewolucji kulturowej tu się nie obejdzie.

Jacek Raciborski

Mam wielką satysfakcję z tej dyskusji. Bardzo się cieszę, że osiągnęliśmy zgodę co do rangi tej problematyki, że zgadzamy się iż państwo stanowi nadal wielkie wyzwanie teoretyczne i praktyczne. Ten temat znajduje się w centrum zainteresowań moich i mojego zespołu. Jako Zakład Socjologii Polityki rozpoczynamy teraz projekt badawczy zatytułowany „Państwo współczesne: style działania”. To, co tutaj było mówione, będzie dla nas źródłem inspiracji i będziemy mogli o tym później pisać także na łamach „Studiów Socjologiczno-Politycznych. Seria Nowa”. Zapis dyskusji zostanie opublikowany w numerze drugim. Nie zamknie to naszego zainteresowania tą problematyką. Bardzo Państwu dziękuję za udział w dyskusji. W szczególności dziękuję Profesorowi Baumanowi za przygotowanie wprowadzenia.

Dyskusję opracował Michał Bielecki